

Radosław Romaniuk: „Niania, Anioł Stróż”. Uwagi na marginesie korespondencji Jana Lechonia i Kazimierza Wierzyńskiego

Listy do Lechonia wystawiają fenomenalne świadectwo Wierzyńskiemu. Jest uważny, troskliwy, po męsku czuły. Zdaje się odczytywać potrzeby i nastroje neurotycznego przyjaciela, reaguje na poruszenia wewnętrznego sejsmografu, które rejestrują kolejne jego wiadomości – pisze Radosław Romaniuk w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Lechoń. Poeta czasu katastrofy”.

„Lesipuszka” i „Ziaba” byli poetami. Trudno o gorsze zaopatrzenie na życie w czasach, kiedy milkną muzy, a wkoło rozbrzmiewa melodia języków innych niż te, w których poeci myślą. Taka sytuacja wszystko zmienia. Jest ogniową próbą relacji przeniesionych z młodzięcych czasów. W wielkiej piątce Skamandra próbę tę przetrwała tylko przyjaźń Wierzyńskiego i Lechonia.

Jej schemat biograficzny stworzony jest niemal do legendy. Gdy Lechoń potrzebował pomocy – w jego życiu zjawiał się Wierzyński. On w początku lat dwudziestych zawiózł przyjaciela do krakowskiej kliniki, gdzie ten leczył później głęboką depresję, która doprowadziła do pierwszej próby samobójczej. On też towarzyszył mu później w emigracyjnej doli najwierniej i świadectwo tej wierności, wydany w 2016 roku tom *Listy 1941-1956*[1], jest jednym z najpiękniejszych i najciekawszych spośród archiwaliów tego okresu.

Pisać do siebie zaczynają na kontynencie amerykańskim, gdy w 1941 roku Lechoń w Brazylii oczekuje na wizę do Stanów Zjednoczonych, do Nowego Jorku, w którym rezyduje już Wierzyński i który stał się potem na krótko niemal drugim Nowym Światem, goszcząc trzech spośród pięciu poetów podpisanych pod manifestem „Pikadora”. Nie przerywa jej później wspólna praca dla Radia Wolna Europa, kiedy poeci spotykali się na Manhattanie, ani wyprawdzka Wierzyńskiego i kolejne zmiany adresów i kontynentów.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.
Prosimy, [KLIKNIJ TUTAJ](#) i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

Dla obu korespondencja ta ma charakter terapeutyczny. Choć jeśli szukać źródła tego faktu – kryłoby się ono w różnicy ich osobowości. Listy do Lechonia wystawiają fenomenalne świadectwo Wierzyńskiemu. Jest uważny, troskliwy, po męsku czuły. „Twoja niania, Twój Anioł Stróż, Twój stary i wierny Kazimierz” – podpisuje jeden z listów. Zdaje się odczytywać potrzeby i nastroje neurotycznego przyjaciela, reaguje na poruszenia wewnętrznego sejsmografu, które rejestrują kolejne jego wiadomości. Nie bagatelizuje niczego, a mimo to jego listy skrzą się pierwszorzędnym humorem. Trzyma on styl znanego żydowskiego dowcipu: jednym słowem „dobrze”, a dwoma „nie dobrze”. Tak można byłoby opisać sytuację autora *Czarnego poloneza*, tak on sam ją opisuje i próbuje tej wewnętrznej dyspozycji nauczyć Lechonia.

Opinia najdowcipniejszych ludzi w przedwojennej Polsce zobowiązuje, aby i w ponurych czasach nie porzucać dystansu, na który humor jest w stanie odsunąć problemy. „Szczypta dobrego humoru uratuje naszą godność” – pisze do Lechonia. I ten istotnie niekiedy podchwytuje tę konwencję. Jest w tym zresztą między poetami ciekawa różnica. Wierzyński celuje w poetyckich stylizacjach. Lechoniowi się one kompletnie się nie udają, jakby „zahamowanie poetyckie” nie obejmowało tylko poezji wysokiej, lecz ogarniało cały ten środek wyrazu. W odróżnieniu od fragmentów epistolarną prozą, które bywają mistrzowskimi próbkami purnonsensu.

*Opinia najdowcipniejszych
ludzi w przedwojennej Polsce
zobowiązuje, aby i w ponurych
czasach nie porzucać
dystansu, na który humor jest
w stanie odsunąć problemy*

Lechonia
emigracyjnego
dręczy poczucie
artystycznego
wypalenia – to już
niemal banał. Listy
do Wierzyńskiego
przynoszą tak
nasycone emocjami

wyznania o poczuciu kryzysu, taki ładunek autokrytycyzmu ich autora, że fraza ta wobec nich nic właściwie nie znaczy. Lechoń nie musiał uznawać się za „byłego poetę”, jak zdarza mu się określać samego siebie. Jego poezja przestała się rozwijać (ale to samo można przecież powiedzieć o ówczesnej poezji Tuwima i Słonimskiego), lecz zdarzały się w niej wiersze na miarę młodego Lechonia. Pisał *Dziennik* – niedorównujący Gombrowiczowi, Dąbrowskiej, Nałkowskiej czy Iwaszkiewiczowi – ale własny i jedyny, bez którego w powojennej polskiej literaturze zabrakłoby pewnego tonu. Pisał w końcu powieść *Bal u senatora*, która miała być najgłębszą wodą na jaką kiedykolwiek

literacko wypłynął. To ostatnie wyzwanie przypominało mu, że wiara we własne siły okazała się optymizmem bez pokrycia. A więc nie wierzył w nie – konsekwentnie myśląc przeciwko sobie, nawet gdy z ostentacją publicznie objawiał wielkie poczucie własnej wartości.

Świadomość tę konfrontował z lekturą nowych wierszy przyjaciela – a od *Korca maku* z 1951 roku Wierzyński odnawiał swą poetykę, nie bez wpływu poezji awangardowej i twórczości świeżego emigranta Czesława Miłosza. „Mówię o zazdrości, bo czuję potworny ciężar mej retoryki” – wyznawał Lechoń, zaraz po sekwencji zachwytów nowymi poezjami Wierzyńskiego. „Osiągnąłeś młodość poetycką – większą niż w *Wiośnie i winie* – lekkość niezrównaną a pełną wagi. Czy zechcesz jeszcze przyjaźnić się z nieudanym oratorem, ciężkim prozatorem, słowem człowiekiem skończonym – jakim jestem?” Naiwna prostota tych pytań, podobnie jak powracająca w późnych listach Lechonia do Mieczysława Grydzewskiego opatrzona znakiem zapytania fraza „czy mam zdolności?”, miała maskować uczucia o charakterze niepomiernie poważniejszym. **Autor *Herostratesa* osiągnął artystyczną młodość, ale w inny sposób niż jego korespondent – znowu nie wiedział, czy potrafi zrealizować potencjał swego talentu, czy wybrał właściwy gatunek, zaczynając powieść, czy może jeszcze pisać tak jak Jan Lechoń i czy ma to w ogóle sens.**

Ważnym wątkiem, niekiedy przesłaniającym inne, jest w *Listach 1941-1956* Wierzyńskiego i Lechonia sprawa sytuacji materialnej obu poetów. Tutaj też Lechoń jest bardziej skłonny do prawdziwie dramatycznych niekiedy wynurzeń. „Wierz mi, że sprawa marki do tego listu była kwestią trzech dni – gdyż oczywiście na samą myśl o pożyczaniu dostaję torsji” – pisze do przyjaciela w 1948 roku. – „Czasem pięć dolarów albo dolar – zabierają parę dni pracy. Jak się

*Walka o byt jest elementem
oczywistym dla nowojorskiej
polskiej diaspory i niewielu
rozumie cenę owej walki, jaką
ponosi poeta, szarpany przez
egzystencjalne demony,
poczucie wyczerpania źródeł
twórczości, osobiste kryzysy*

człowiek zbliża do
pięćdziesiątki, nie
ma to już żadnego
uroku”. Poeta
podejmuje co jakiś
czas próby afiliacji
przy którejś z
kulturalnych
emigracyjnych
instytucji. Ten
prominentny, jakby
się wydawało,
członek polskiej

diaspory ma jednak zbyt wielu wrogów w emigracyjnym piekiełku, aby mogło się to udać. Nie jest to wypowiedziane do końca, lecz z pewnością czynnikiem torpedującym owe starania jest homoseksualizm Lechonia (karalny według ówczesnego amerykańskiego prawa), o którym „życzliwi” nie omieszkają donieść decyzyjnym gremiom.

Walka o byt jest elementem oczywistym dla nowojorskiej polskiej diaspory i niewielu rozumie cenę owej walki, jaką ponosi poeta, szarpany przez egzystencjalne demony, poczucie wyczerpania źródeł twórczości, osobiste kryzysy. Widzą w nim aroganta, który uważa, iż ma wobec polskiej kultury niespełniony obowiązek, a więc ich prostym obowiązkiem wobec niej byłoby go wspierać. Po czasie wiemy, że Lechoń miał rację.

Miał rację nie tylko w tym. „Uważam nadzieję za taki sam element rzeczywistości jak dedukcję z realnych faktów – pisał do Wierzyńskiego w 1950 roku – i dlatego sobie i innym mówię «Wrócimy»”. W przypadku Lechonia był to powrót przepowiadany w innym wierszu – na podwarszawski cmentarz. Akord biografii godny poety – autora słów: „Na końcu będzie wszystko/ wyglądać inaczej./ Ja dawno już mówiłem:/ Kasandra się myli”.

Radosław Romaniuk

Zamieszczone w artykule zdjęcie pochodzi z zasobów Narodowego Archiwum Cyfrowego: <https://www.nac.gov.pl/>

[1] Jan Lechoń, Kazimierz Wierzyński, *Listy 1941-1956*, oprac. Beata Dorosz, współpr. Paweł Kądziała, WYDAWNICTWO IBL PAN, Warszawa 2016.